

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. B. Kucharek, W. Morek



fot. B. Kucharek

Międzynarodowy Dzień Dziecka



rys: E. Lutczyń

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (129)

Matura

Za nami gorący czas majowych matur, którymi rzecz oczywista emocjonują się głównie zdający egzamin dojrzałości, także ich bliscy. Na ile silne są te emocje trudno mi powiedzieć, media je podsycają donosząc o wyciekających tematach i tak zwanych „przewalach”. Moja matura przebiegała w niemal całkowitym braku zainteresowania rodziców, którzy uważali pewnie słusznie, że skoro cymbał cztery lata radzi sobie w liceum to pewnie końcowy egzamin z tej edukacji zda. Wynik tego egzaminu nie premiował automatycznym awansem na wyższe studia, więc wystarczyło po prostu zaliczyć. Odpisałem matematykę, napisałem polski i po „piątce” z ustnego z biologii byłem po wszystkim. Bez stresu kopałem piłkę na jeszcze szkolnym podwórku, ojciec dał parę groszy na piwo dla dorosłego już faceta, choć we łbie miałem hormonalny chaos i kompletnie nie myślałem o przyszłości. Zero planów, pełen luz.

Pamiętam wyniesione z rodzinnego domu wspomnienie rozmów dorosłych, w których padało z atencją wyrażane stwierdzenie o wartości przedwojennej matury. Ona, on mówiono mieli przedwojenną maturę, czyli byli kimś. Czy o obecnych maturzystach będą gadać z takim szacunkiem? Wątpię.



foto: B. Zimowski

Wpadki maturalne

"Król musi być synem swego ojca, natomiast prezydent nie musi"

"Mleczne zęby ma się, gdy się pije mleko. Gdy się zaczyna pić piwo - ma się zęby sztuczne"

"Z Hławy był pacholek jak się patrzy i z góry i z dołu"

"W powieści poznajemy Danusię jako dziecko, a rozstajemy się z nią, gdy miała już kształty"

"Wiersze Norwida nie wykazywały zrozumienia dla odbiorców"

„Pankracy na najwyższym szczeblu drabiny widzi tylko ruiny i zgliszcza"

Wybrał: B. Kucharek

TA POLSKA

Słowa: Marian Janusz Kawalko
Muzyka: Piotr „Kuba” Kubowicz

ja się tej Polski
co dzień uczyć muszę
jak ociemniały uczy się
miłości
niejedną już mi
przeszczepiono duszę
a ja się ciągle Polski
uczyć muszę i wciąż
nie dość mi

ja wciąż w tej Polsce
kraju szukać muszę
w którymby wszystkie
jednały się słowa
gdzieby kończyły się
drogi najdłuższe
zdrady najświętsze

i wieczne pustkowie
takiej Ojczyzny w Polsce
szukać muszę ciągle od nowa

bo mi ta Polska
niby głód doskwiera
i w bezsenności wypatruje świtu
nie uleczona przechodnia
jak peron
z szalonym żaglem
postrzępionym sternem
rzecz pospolita

Emilia Ratkowska

z tomiku: „Marmurki”, Kraków 2022

NIC

Gdy odpływają szczegóły
(gdy czas nieruchomieje)
Pojmuję odrobinę
I chociaż zapominam
i choć niewiele wiem więcej
pragnę to opowiedzieć

pojmuję, że nie opowiem
co odrobinę pojmuje

(Lecz ta drobina goryczy
garsteczka
Nie gasi we mnie radości)

NIELOT

Pragnę być dobrym ptakiem
Wstaję pełna niechęci i złości
Czasami tak bolesna
Że każda myśl jest alarmem
Dzisiaj
Biorę na siebie wszystko zło
Jakbym to ja je stworzyła
Jutro
Niesie mnie radość
Ja, nielotny ptak
Szybuję

Zapominam, że mam narządy
skłonne do skurczów



fot. archiwum

Mieczysław Czuma

KAMYCZEK

Coraz bardziej dochodzę do przekonania, że bywalcy Zwisu to gatunek niezwykle, szczególnie uprzywilejowany. Powiem więcej. Nie wszyscy dają wiarę przemyśleniom Darwina. Ale jeśli ewolucja istnieje, to właśnie bywalcy Zwisu są najdoskonalszym ogniwem tego procesu, jego najdoskonalszym owocem. A to dlatego, że zgodnie doszli do porozumienia gdzie należy umawiać się na pogaduchy. Ma to być Rynek

Główny, najszykowniejszy z europejskich salonów (4 hektary, 3 ary i 34 metry kwadratowe). Tu się słucha hejnału, liczy gołębie, podgląda dorożki, spotyka każdego z tych, co to się liczą. A w bezpośredniej bliskości wyrasta przy nich dostojna wieża dawnej siedziby rajców miejskich obdarzona jakże nobliwym adresem: Rynek Główny 1. Dawno, dawno temu, bo w latach osiemdziesiątych ubiegłego jeszcze stulecia, postanowiono przywrócić miastu i światu kultowe miejsce jakim były kiedyś (a i są nadal) piwnice pod wieżą ratuszową. Zamiarowano wtedy mianowicie udostępnić wiekowe wnętrza szerokiej publice i urządzić tam stylowa kawiarnię (dziś to scena Teatru Ludowego). Kolejne terminy otwarcia oczekiwanego powszechnie lokalu były jednak wciąż odraczane. A to dlatego, że na środku pomieszczenia zalegał olbrzymi głaz. Był nie do ruszenia. Za ciężki, by go dźwignąć, za wielki, by precyzyjnie się z nim w wąskiej klatce schodowej. Był to relikw z odległej przeszłości. Kiedy w roku 1820 wyburzano przylegający do wieży czteropiętrowy budynek gotyckiego ratusza, ten wielki kamień oderwał się z największej wysokości, przebił po drodze wszystkie możliwe stropy i osiadł w piwnicy. Teraz stał się problemem dla najtęższych głowaczy. Skruszyć się go nie da, bo za twardy. Rozsadzić dynamitem? Nie, bo ucierpią zabytkowe mury. Potraktować jakimś żrącym kwasem? Mowy nie ma, zatruje się środowisko. Nad problemem z powagą pochylali się najwybitniejsi specjaliści z AGH i Politechniki. Bezradna okazała się fizyka i mechanika, nic do powiedzenia nie miała chemia. Słowem, absolutna kłapa. I wtedy do gry przystąpili ci, którzy mieli pomysł: „– Będzie pół litra, to zerwiemy nockę, nie pośpimy i na rano kamienia nie ma”. To słynna oferta złożona na ręce profesorów Wiktora Zina i Karola Estreichera przez dwójkę zatrudnionych przy robotach kołesiów z Półwsia Zwierzynieckiego. Na taką propozycję odpowiedź mogła być tylko jedna, że oczywiście będzie pół litra i to z najwyższej półki. Kiedy na drugi dzień uczeni mężowie zeszli do piwnic, nie wierzyli własnym oczom, olbrzymi głaz zniknął. Ci z Półwsia Zwierzynieckiego oznajmili tylko skromnie, że wykonali całą robotę za pomocą dwóch wiader i jednej łopaty. Przy pomocy którego to sprzętu wkopali kamyczek w matkę ziemię. Idą wakacje i trzeba będzie, choćby na krótko ale jednak, pożegnać się z Rynkiem. Z hejnałem, gołębiami, dorożkami, ratuszem. Przyjdzie rozejrzeć się po innych miejscach, pooglądać inne krajobrazy. I wrócić tu, gdzie najfajniej.

Stefan Szlachtycz

FILIPAK, Adieu - cz. 3



fot. archiwum

To trwało przez ponad trzy lata. Organizm RF wykazywał, zaiste radziecką odporność na alkohol, co jednak nie mogło trwać bez końca. W tym okresie przestrzegał dwu żelaznych dyscyplin: 1. Nie spóźnić się do teatru, szczególnie na spektakl; 2. Oddawać w terminie pożyczone pieniądze. Dzięki temu miał wszędzie otwarty kredyt i nie miał problemów dyscyplinarnych (zasadniczych). Nie zapominał tekstu, ani sytuacji, nie płatał mu się język, jedynie partnerki sceniczne skarżyły się na nieznosny odór alkoholu i dymu tytoniowego z jego ust. Widowni to nie przeszkadzało, waliła na spektakle z jego udziałem. Dyrekcja, acz niechętnie tolerowała jego modus vivendi. Było jeszcze trzecie „P”. Tak zaliczał doraźne przygody erotyczne, tylko hetero, z pozycji samca dominatora. Gejami lekceważąc gardził, chętnie ich parodiował. Podobnie było z Żydami („żydkami”), wtedy. Miał zawsze stałą partnerkę w roli żony, która prowadziła mu zadbane dom. Wówczas była to charakteryzatorka z Teatru Starego, o delikatnej urodzie Madonny. Miał z nią synka, tak do siebie podobnego, że wątpliwości wydawały się niemożliwe... Wypada wyjaśnić moje z nim zbliżenie. Dla mnie był to rodzaj... okiełznania bestii, była też interesowna możliwość dysponowania wybitnym aktorem. Nie odmawiał mi ról, szkoda że nie zapisała się żadna, telewizja tamtych czasów nie dysponowała zapisem obrazu. Dla niego bliskość ze mną była... rodzajem edukacji. Cierpiał na kompleks niedokszałcenia, równocześnie miał awersję do renomowanych, wyniosłych intelektualistów w rodzaju Wajdy czy Jarockiego. Mnie uznał za partnera w sam raz. Otwierał się przede mną ze swoimi słabościami, słuchał rad (jeśli nie dotyczyły alkoholu), jednym słowem nominował mnie na swojego Mentora. Dziennego, bo miał też drugiego nocnego. Filigranowy redaktor Władysław Cybulski, wybitny filmoznawca, z którym spędzał noce w „Feniksie”, był wprawdzie i Żydem i gejem, ale też... alkoholikiem. Oczywiście nie próbował dogonić Rysia, ale... chętnie stawał. Też przyjąłem przy Rysiu swoją dawkę alkoholu, ale gdybym mu akompaniował, nie miałbym dziś okazji pisać tego memuaru. Wtedy też Rysio zawarł był inną, znacznie ważniejszą, acz niejawną koneksję. Ze Służbą Bezpieczeństwa. Nie, żeby podpisał akces TW (tak myślę), ale stał się pupilem, najpierw lokalnych struktur, potem centralnych, wreszcie szefa MSW, samego generała Moczara. To już nie byli prymitywni Ubecy pierwszych lat komunizmu, ale wykształceni pracownicy aparatu nadzorującego resort ideologiczny. Pozyskanie dla swoich interesów celebrowanego Artysty okazało się dla nich tzw. Voltrefferem. Z pewnością dokonało się to w okolicznościach alkoholowych, ale to się już nie ujawni. W każdym razie, Rysio zyskał wtedy miano najpotężniejszego protektora, jakiego można było mieć w PRL. I to miało mu się wysowić.

W Sylwestra 1965 ma miejsce mój ślub, w Urzędzie Stanu przy Franciszkańskiej, o ósmej rano. Uczty weselnej nie ma w planie, ale uczestnik Rysio namawia mnie na improwizowane śniadanie u „Wierzynka”. Mamy tam „chody” od czasu realizacji tamże jego telewizyjnego recitalu piosenkarskiego. Zanim jako reżyser, wystąpiłem tam jako architekt będąc współprojektantem wystroju wnętrz. Wesele jest nader udane, cały personel uczestniczy.



fot. B. Zimowski

Andrzej Matusiak MÓJ DAWNY KRAKÓW MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach” (117) Katedra Wawelska cz. 14

Kolejną kaplicą katedralną, usytuowaną na końcu katedry za prezbiterium, będącą mauzoleum królewskim jest **kaplica Mariacka** pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej **Marii Panny** zwana też **kaplicą Mansjonarską** (*kapłanów niższej rangi*), **Cyborialną i Batorego** od znajdującego się tutaj jego nagrobka. **Stefan Batory (1533-1586)** książę siedmiogrodzki, zawierając **1 maja 1576** roku małżeństwo z **Królową Anną Jagiellonką (1523-1596)** został wówczas koronowany na **Króla Polski**. Z poślubioną 53-letnią małżonką, Batory podobno spędził tylko trzy noce, czemu nie ma się co dziwić. Według przekazów, była ona można by powiedzieć, *nieuchylnej urody z dewocyjnym* i jak to u starej panny, *wrednawym charakterem*. Dlatego też król najpewniej, wolał przebywać w *teren* i walczyć na wojnach, zresztą zwycięskich, zwłaszcza z Rosją Moskiewską. **Zmarły w grudniu 1586 roku** w Grodnie **Stefan Batory**, początkowo został złożony w przebudowanym wcześniej na jego polecenie przez królewskiego architekta **Santi Gucciego**, królewskim pałacu w **Łobzowie**. Następnie w 1588 roku pochowano króla w katedralnej gotyckiej kaplicy Najświętszej Marii Panny w której pochowana była Elżbieta z Pilicy (Pilecka) trzecia żona Władysława Jagiełły. Na zlecenie i koszt Anny Jagiellonki, Santi Gucci w latach 1594 -1595 przebudował kaplicę w stylu manieryzmu, pozostawiając gotyckie ostro-łukowe arkady wejścia i żebrowe trójpodporowe sklepienie na którym była renesansowa polichromia ukazującą świetność władcy. Na ścianie północnej, Gucci wykonał z białego piaskowca, czerwonego marmuru i alabastru, efektowny okazały trójdzielny nagrobek króla Stefana Batorego. W środkowej części nagrobka umieszczono wypukłą rzeźbioną figurę spo-czywającego króla w koronie, podpartego na prawej ręce. Na sobie ma zbroję z królewskim płaszczem, trzymając jabłko i berło. Twarz króla jest zgodna z jej rzeczywistym wyglądem, przedstawianym na jego ówczesnych wizerunkach. Nagrobek zwieńczony jest półokrągłym **tympanonem** z kartuszami herbowymi Polski, Litwy i Sforzów. W latach 40. XVII w. kolejna przebudowa kaplicy przez kanonika Wojciecha Serebryskiego, wzbogaciła ją o pokrycie ścian czarnym marmurem, marmurowe stalle i portale oraz barokowy chór –

nagrobek króla Stefana Batorego
rys. Michał Stachowicz 1817 r.

empore. Postawiono też w XVII w. cyborialny barokowy drewniany ołtarz z tabernakulum w kształcie kopułowej świątyni (*tempietto*). W 1877 roku otwarto grób Stefana Batorego, znajdując w nim królewskie regalia – koronę, berło, jabłko i szablę. Po uszkodzeniu kaplicy przez bombę z radzieckiego samolotu w styczniu 1945 roku, była ona w latach 1946 – 1951 restaurowana. Sama fundatorka królewskiej grobowej **kaplicy Batorego** królowa Anna Jagiellonka, po swojej śmierci w 1596 roku została pochowana w kaplicy Zygmuntowskiej, której budowę zresztą ukończyła.

Poza ZVIS'em:

Wisława Szymborska - wystawa ilustracji w 100 - lecie urodzin Artystki Piwnica pod Baranami - maj, czerwiec 2023



Henryk Tomasz Kaiser wystawa fotografii „Oblicza maszyn” Dym Cafe Bar - maj, czerwiec 2023





V Samotna Zwisowa wyprawa w Bieszczady



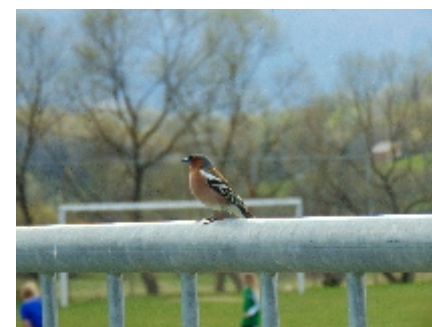
I po czapli



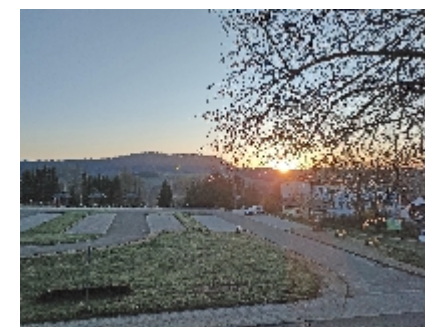
Ruiny cerkwi p. w.
św. Paraskewy w Krywem



Kaczeńce



Zięba



Świt w Lutowiskach



Ruiny cerkwi p. w.
św. Paraskewy w Krywem

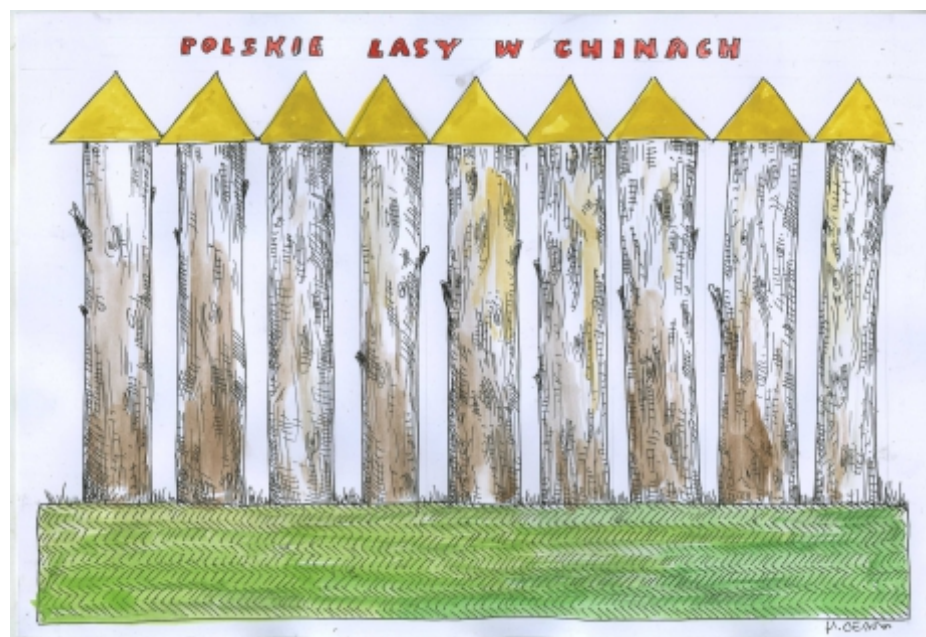


Dwernik -
zabudowania dawnej knajpy



Lutowiska - kościół
fort. B. Kucharek

Henryk Cebula - grafiki:



Jan Woleński

PIERWSZY EPIZOD Z ROMANEM INGARDENEM



fot. B. Zimowski

Studia prawnicze rozpocząłem w 1958 r. Już na I roku zainteresowałem się teorią prawa. Aby poszerzyć swoją wiedzę postanowiłem studiować jeszcze jeden kierunek – w grę wchodziła filozofia, psychologia lub socjologia. Rozmawiałem o tym z prof. Kazimierzem Lepszym, późniejszym „jubileuszowym” rektorem UJ. Poradził mi filozofię, bo tam jest prof. Ingarden, a to jest wybitna postać. Studia filozoficzne rozpocząłem od II r. po zdaniu egzaminów „pierwszorocznych”, gdy byłem po II r. prawa. Sesja egzaminacyjna w 1961 r. była ciężka – 4 egzaminy na prawie i dwa na filozofii. Jako student prawa miałem stypendium naukowe (850 zł, a więc wysokie) i, aby je utrzymać, musiałem zdać egzaminy w I terminie, czyli w sesji letniej, co najmniej na ocenę dobrą. Zwróciłem się do dziekana Wydziału Filozoficzno-Historycznego o przełożenie egzaminów z filozofii na wrzesień, ale odmówił. Prorektor ds. studenckich podtrzymał tę decyzję i przy okazji obcesowo zauważył „Myśmy nie kazali panu studiować dwóch kierunków, jak pan nie daje rady, proszę zrezygnować z jednego”.

Cóż było robić – przystąpiłem do obu sesji w czerwcu. Tak złożyło się, że w jednym dniu miałem egzamin z postępowania karnego u prof. Mariana Cieślaka i z historii filozofii. Cieślak miał to do siebie, że przychodził na egzamin ze sporym opóźnieniem. Miał zacząć się o 8.30, ale studenci czekali do 11 lub dłużej na początek. Ja zdałem około 14.30, a o 15 miałem wyznaczony termin z historii filozofii nowożytnej. Dzień był upalny, a wtedy przygodziło się na egzaminy w garniturze i w krawacie. Pytali Ingarden i prof. Izidora Dąmbska. Zdawało się pojedynczo, egzamin trwał godzinę – 30 min. u każdego z egzaminatorów (taka była tradycja lwowska). Poszło mi średnio, tj. dostałem trójkę. Po egzaminie Ingarden powiedział „Spodziewałem się lepszego wyniku”. Gdy wyjaśniłem mu sytuację, zapytał „Dlaczego pan nie przyszedł do mnie o przeniesienie terminu?”. Odrzekłem, że zwróciłem się, zgodnie z przepisami do dziekana i prorektora, a skoro odmówili uznałem, że sprawa zakończona. Wtedy Ingarden „W przyszłym roku proszę przystąpić wtedy, kiedy będzie panu wygodnie”. Ja na to „Panie Profesorze, a jeśli dziekanat będzie robił problemy z zaliczeniem?”. Ingarden odparł „Niech tylko spróbują”. Dwa egzaminy z III r. filozofii zdałem we wrześniu, oba na bardzo dobrze i nikt nie kwestionował tego, że nie podszedłem do nich w czerwcu. Co profesor, to profesor.

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Przesłanie autora



fot: archiwum

W drugiej połowie XX wieku dobrodziejstwem krakowskiej kultury były teatry i ich przedstawienia.

Przedstawienie teatralne najsilniej ze wszystkich znanych ludzkości sztuk najsilniej działa na odbiorcę.

Spektakl to forma wszystkim nam najbliższa, ale i najszybciej przez nas zapomniana, a przecież nasze dzieje i nasza kultura jest w stanie ocalić tylko aktywna pamięć.

Te trzy zasady sprawiły, że nowy cykl moich wspomnieniowych felietonów - korzystając z recenzenckiego kalendarza od lat 60. tych ubiegłego wieku do jego końca - przywołuje co miesiąc lub co dwa - jedno znaczące wydarzenie teatralne i jego twórcę - reżysera spektaklu - zgodnie z datą premiery.

Tym sposobem - pod koniec roku - powstać ma <nowy> kalendarz krakowskich premier (16 lub 20), o których - mimo upływu czasu - pamiętać warto.

Po to - między innymi - by nie dać się omamić pseudo-wartościom, których nadmiar zaczął już nas przytłaczać w tzw. IV Rzeczpospolitej.

Premiera czerwca

* * *

„ŚMIERĆ GUBERNATORA” Leona KRUCZKOWSKIEGO

reżyseria: Władysław KRZEMIŃSKI
Stary Teatr w Krakowie
[premiera: 4 czerwca 1961]

Teatralne świadectwo prawdziwego komunisty

Niepoprawiany przez ideologów kalendarz nie kłamie. Dowodem na to - teatralne triumfy jednej sztuki teatralnej w czasie jednego sezonu artystycznego. A takim sukcesem poszczycić się mogła w Polsce roku 1961 sztuka Leona Kruczkowskiego „Śmierć gubernatora”.

Przecierał się oczy ze zdumienia, że Leon Kruczkowski [1900-1962] – zaangażowany bez reszty piewca komunistycznego ustroju, zniechęcony przez uczniów autor <lektur obowiązkowych> [powieść „Kordian i cham” i sztuka „Niemcy”] nie tylko zwątpił w bezbłędny <mechanizm dziejów>, serwowany przez pseudomarksistów, rządzących

w powojennym obozie socjalistycznym, ale – tuż przed śmiercią [1 sierpnia 1962] dokonał znaczącego rozliczenia z samym sobą.

Nic dziwnego, że rewolucyjny na swe czasy i cały czas skonfliktowany z władzą dyrektor Starego Teatru Władysław Krzemiński - w drugiej, już kadencji zarządzania tą sceną [1957-1963] w swojej inscenizacji tej nowej sztuki Kruczkowskiego, odnalazł czwarty z kolei (po przedstawieniach Kazimierza Dejmka [7.IV.1961], Kazimierza Kutza [23.V.1961] i Jerzego Jarockiego [27.V.1961]) klucz interpretacyjny tego bardzo ważnego – jak się okazuje wtedy i teraz - po latach - polskiego rodzimego dramatu.

Zwłaszcza, że - jak twierdził asekuracyjnie sam Kruczkowski, a potem - powtarzali za nim sekundujący mu dzielnie oficjalni krytycy - fabuła sztuki, zaczerpnięta z <historycznego> opowiadania Leonida Andrejewa, opisującego dylematy <burżuazyjnej> władzy wobec rewolucji ...1905 roku, jest wierna pierwowzorowi, a więc ...ponadczasowa. <Historyczne> treści dramatu oszukać wprawdzie mogły rządząca polskim życiem kulturalnym cenzura, ale i artyści wystawiający „Śmierć” na scenie, i – przede wszystkim - widzowie dobrze wiedzieli, o co właściwie autorowi chodzi.

Wiedział też o tym doskonale Władysław Krzemiński, wspomniały reżyser i światły dyrektor, który od Października 1956 potrafił swoją scenę nasycać najbardziej aktualnymi dokonaniem dramatu światowego. Królował więc w Starym - bardzo mocny w swym społecznym przekazie - realistyczny model teatru - jak tego żądał państwowy mecenas, ale bynajmniej - nie był to wzór... moskiewski.

Pokazywany w wersji ...anglo-amerykańskiej (prapremiery sztuki Arthura Millera i Tennessee Williamsa), obnażał wprawdzie – jak głosił zgrabny kamuflaż - „prawdziwe oblicze kapitalizmu”, ale dla ideologów socjalizmu, był to przykład polskiego widza bardzo...demoralizujący.

Krzemiński, bez którego dwóch dyrektorskich kadencji, nie byłoby Wielkości Starego Teatru (pamiętamy, że swe artystyczne apogeum święciła krakowska scena za dyrekcji Jana Pawła Gawlika [1970-1980]), jako jeden z twórców przedwojennego Cricotu, dobrze pamiętał zawsze o obowiązkach awangardzisty w teatrze. Nie inaczej było w przypadku inscenizacji sztuki Leona Kruczkowskiego

Fabuła „Śmierci gubernatora” jest prosta, ale w swej prostocie – dramatycznie wstrząsająca i etycznie pouczająca: oto Gubernator uwalnia skazańca – złapanego na gorącym uczynku – zamachowca. Ale ten najwyższy przedstawiciel władzy wcale nie jest pewny, że tym sposobem darował mu życie. Funkcjonowaniem władzy rządzą bowiem mechanizmy, które za nic mają nawet dobre uczynki władców. I to odkrycie nieuchronności degeneracji każdej władzy przez „partyjnego aparatczyka” z jej najwyższych państwowych szczebli nakazało Krzemińskiemu nie tylko fascynację tematem, ale podyktowało sprawdzony - w czasie jego artystycznej dyrekcji Starego - wybór bardzo realistycznej interpretacji scenicznego zdarzenia.

Dlatego też Krzemiński w swym niezawodnym instynkcie prowadzenia aktora tak zaufał swym dwóm znakomitym solistom: Kazimierzowi Fabisiakowi (Gubernator) i Wiktorowi Sadeckiemu (Więzień). To oni poprzez finezyjną prawdę, ujawniającą psychologiczną głębię decyzji obydwu przeciwników poprowadzili cały znakomity ansambl do odkrycia o którym marzył w swym dramatycznym testamencie - autor, a które dobrze znali widzowie.

Lesław Pizło

Pomniki

W wielu dziedzinach nie nadążamy za innymi, ale w jednej, plasujemy się w ścisłej czołówce. Mianowicie, w dzwiganianych pomnikach. Kiedyś dotknąłem tematu, zwracając uwagę, że nie jest nowy, bo już pan Prus zalecał daleko posuniętą ostrożność w tej dziedzinie. Z perspektywy czasu okazuje się, że wielki wizjoner to zwykły manipulujący, a wielki święty był zwykłym grzesznikiem i kłopot gotowy. Za przestrożę niech posłuży muzeum w Kozłowie. Nie, nie idzie mi o przepiękną urodę zespołu pałacowo parkowy Zamoyskich, tylko o ulokowane w jego oficynach muzeum socrealizmu. Gromadzone tam są liczne dzieła sztuki z tego okresu. Lepsze lub gorsze, gdyż autorami byli obok koniunkturalnych sług reżymu także wybitni twórcy, i są znakomitą przestrożą dla potomnych. Większość z nas pamięta Lenina w alei Róż. Przez wiele lat był ołtarzem wokół którego zbierali się



foto: B. Kańska - Bielak

wyznawcy jego kultu. Padł ofiarą zamachu bombowego, ale niezbyt udanego gdyż wybuch amatorskiego ładunku tylko urwał mu piętę. Zdemontowany, po zmianie ustroju, leżał jakiś czas w forcie w Swożowicach, aż wreszcie wyjechał do Szwecji zakupiony przez jakiegoś ekscentrycznego milionera. Wiele lat później w tejże al. Róż pojawiła się, z inicjatywy Teatru Łaźnia, przesmiewcza instalacja gdzie tenże Lenin pomalowany na żółto sikał, czyli jak



foto: archiwum

objaśniali twórcy tego happeningu olewał. A co olewał niech każdy sobie dośpiewa sam. W czasach gdy jeszcze tkwił na cokole, ludek dopatrywał się ukrytego w monumencie, przez autora, przesłania. Mianowicie jak się dobrze przyjrzeć nie była to postać dobrotliwego przyjaciela ludu pracującego miast i wsi, tylko groźny i zaborczy satrapa mogący zdeptać, wziąć pod but każdego nieposłusznego. Takie skojarzenia nasuwała wielka, zwalista postać wodza rewolucji z wysuniętą nogą i zaciętym wyrazem twarzy.

Panu Koniecznemu, bo on to stworzył owo dzieło przypisuje się jeszcze jedną zabawną intrygę. Według jego projektu wzniesiono w Rzeszowie pomnik budzący kontrowersje od samego początku. Autor twierdził, że jego kształt i forma ma przypominać mandorlę, uniwersalny motyw obecny w sztuce, szczególnie sakralnej, od wczesnego średniowiecza. Często, w tej formie aureoli, była umieszczana Madonna. Rzeszowianie natomiast



foto: archiwum

dostrzegli w nim coś zgoła odmiennego i nazwali go Wielką Cipą. I tak już zostało. Zabawne też jest to, że pierwotnie, zgodnie z zamówieniem, miało to być monument upamiętniający 1000 lecie państwa polskiego. Ale w trakcie realizacji zleceńodawcy się odmieniło i zostało Pomnikiem Czynu Rewolucyjnego. Nie zmieniając kształtu. To nic nowego. Takie manipulacje zdarzały się już wcześniej. Pod koniec XIX wieku żyjący i tworzący w Rzymie Oskar Sosnowski odkuł w kamieniu parę książęcą czyli Mieszka i Dobrawę z intencją podarowania monumentu papieżowi. Rzeźba miała wg. zamysłu autora upamiętnić 900-lecie chrztu Polski i stanąć w ogrodach watykańskich. Aliści obdarowany nie kwapił się z przyjęciem daru i po latach poniewierki zdesperowany autor wyekspediował dzieło do Krakowa z nadzieją że tam znajdzie swoje miejsce. Rajcy miejscy ochoczo przyjęli rzeźbę, Mieszkowi i Dąbrowce dołożyli herby z Pogonią i Orłem Białym i w ten oto cudowny sposób przeistoczyli się oni w Jadwigę i Jagiełłę. Pomnik ustawiono na plantach w 501 rocznicę Unii w Krewie. Stoi sobie spokojnie do dziś i mało kto pamięta jego poplątane losy. Dalszy ciąg rozważań o pomnikach pomnikach będzie w wakacyjnym numerze.

Galeria Vis á Vis: Przemysław Czaja wystawa fotografii



Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr: 101



foto: N. Pazdej

Anička nie żyje. Zdanie to pojawiło się ostatnio w mediach słowackich. Prawie dziesięć lat bardzo wielu ludzi śledziło dzięki GPS w internecie jej życie. Liściki również, jeżeli Państwo pamiętacie. Orlica Anička przy migracji przeleciała ponad 25 państw do północno-wschodniej Afryki z Europy poprzez Rumunię, Bułgarię, Turcję wokół Morza Czarnego do Azji, poprzez Syrię i Izrael na kontynent afrykański do Egiptu i z powrotem. Od lat „mieszkała“ nie daleko małej wioski na Liptowie - Beňušovce. Zostało po niej potomstwo...i kilka videodokumentów, i reportaży radiowych. Z innej beczki, bardziej optymistycznej, o witalności wspaniałego artysty, niesamowitego człowieka, Mistrza pantomimy. *Milan Sládek*. 85 lat, światowej sławy mim, ciągle tworzy, występuje, maluje, rzeźby swoje maski, wykłada i pisze. Wiek dla niego jak gdyby nie istniał. Kochany przez publiczność, chwalony w analizach krytycznych...twórca własnych kreacji, mim i choreograf, reżyser i pedagog. Jego życiorys przypomina los niejednego artysty po 1968 roku. Występując w tym czasie na Zachodzie nie wrócił do okupowanego kraju. Po różnych perypetiach zamieszkał w Kolonii nad Renem i w latach 70-tych założył *Teatr Kefka*, jedyną stałą scenę pantomimy w Europie zachodniej. Również tutaj przez 12 lat organizował międzynarodowy festiwal pantomimy *Gaukler*. Po zmianach systemu wrócił na Słowację, udało mu się odnowić i zrestaurować *Teatr Arena* (zał. w 1828 roku, nowy budynek zbudowano w 1898 roku) znany również z występów młodego Maxa Reinharda. Powstał *Międzynarodowy Instytut Teatru Ruchu*, *Międzynarodowy festiwal pantomimy Kauklier*; mnóstwo inscenacji jak na przykład *Grand Pierot*, *Apokalyptika*, *Król Ubu*, *Wesele Figara*...itd. Wrócił jednak do Kolonii skąd nadal jako Faustus wyjeżdża w świat, żeby go przez swoją sztukę ulepszać. Przyjeżdża na Słowację gdzie ma swoich wiernych widzów. Z okazji jubileuszu przygotował bardzo aktywny LECA production *Festiwal pantomimy i wystawę prac Mistrza* - obrazy, maski, postacie, fotografie, kostiumy. „Malarstwo dla mnie jest pewną medytacją...“ Wystawy miał w bardzo wielu znaczących galeriach. Przez 8 dni występował, spotykał się z publicznością, udzielał wywiadów. Z Mistrzem się znamy dokładnie od 30-tego października 1996 roku, kiedy go zaprosiłem do *India klubu*, bowiem pobывał w Indiach. Kocha klasyczny taniec indyjski...piszemy do siebie. Podziwiam, nie zresztą tylko ja, jego wytrwałość, inspirację, pogodę ducha, kreatywność z jaką stwarza nowe inscenizacje. Ze swoją twórczością zjeździł prawie cały świat. Zna twórczość Henryka Tomaszewskiego od jego występów w roku 1957 w Bratysławie. Zespół H. Tomaszewskiego uczestniczył w festiwalu pantomimy w Kolonii, jak również jego uczniowie uczestniczyli w festiwalu w Bratysławie. *Milan Sládek* jest oryginalnym artystą, Mistrzem nad Mistrzami, Persona grata kultury europejskiej nie mającym konkurencji w swoim działaniu...*Vivat Mr. Sládek!*

Marek Michalak

Droga do raju cz. 59

Droga do raju... przez Canal d' Amour



foto: B. Kucharek

Niby proza życia emeryckiej codzienności, ale nie do końca musi tak być. Życie często zaskakuje nas różnymi niespodziankami. Taki przykład. Kończę akurat 73 lata i mam cichy zamiar zrealizować chociaż niektóre z moich marzeń. Jedno z życzeń urodzinowych - dostaję od syna i jego żony-pobyty na Korfu. Zwiedziłem już trochę miejsc w Grecji, ale Korfu pozostawało ciągle w sferze marzeń. To był prezent jak „6-tka” trafiona w Lotto! Szybkie pakowanie walizek i lot w kolejny kawał historii, kultury i wiecznie kolorowego ogrodu w górach otoczonych lazurową wodą. W kwietniu wyspa gwałtownie zakwita dając wypiarzom radość rekompensaty za czekanie - jak w letargu - przez kilka zimowych miesięcy w nieustających strugach deszczu. Nie bez powodu na cztery szpitale w mieście Korfu, są aż trzy „psychiatryki”. Sezon turystyczny zaczyna się w maju. W kwietniu, według mnie, to najlepsza pora na zwiedzanie. Drogi w miarę przejezdne. Miejsca do zwiedzania i restauracje jeszcze bez kolejek. To samo plaże, prawie puste. Dostaliśmy z Iwoną z Magic Tours wspaniałego przewodnika - Filipa, który jeździł z nami przez dwa dni w różne magiczne miejsca, a jedno z nich, to Canal d' Amour w wiosce Sidari. Skąd się wzięła ta nazwa Kanału? W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia oblegali tutejsze piaszczyste plaże hippisi z całego świata, podziwiając symbol miłości, czyli serce naturalnie wyrzeźbione przez morze w nadbrzeżnym klifie. Oryginalny symbol niestety poddał się morskiej erozji, ale tuż obok wyrósł podobny, jeszcze nie do końca wyrzeźbiony. Bogowie



Canal d' Amour

foto: I. Michalak

już nad tym pracują. Dzisiaj ciągle zaglądają tu starzy bywalcy, nierzadko z dziećmi i wnukami. Dochodzi do częstych spotkań, zwierzeń i gorących wspomnień. Granie, śpiewy i tańce do rana. Czy można sobie wyobrazić piękniejsze wspomnianie chwil spędzonych w słynnej wiosce „pod sercem” na Korfu? Magicznych miejsc tu nie brakuje, a w drodze do raju nie wolno nam o nich nie marzyć...

Jerzy Antkowiak

**ÓSMA ÓSEMKA ÓSEMECZKA
ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA ÓSEMKA
BEZ STERNIKA ÓSEMECZKA I
ÓSEMKA DZIEŚIĄTECZEK - 88 -
TYLE LATEK MA WASZ PAN
FELIETONISTA ÓW JURECZEK**



foto. archiwumi

Jeszcze nie zdzieciniał kompletnie, ale wszystko idzie w dobrym kierunku, więc zapewne będzie weselej, zaś śmiechu nigdy dość - chociaż by po to żeby powkurzać gburów, malkontentów i smutasów. Dwie ósemki są urodziwe, 88 ma cztery owalne wianuszki i cztery brzuszki, nie ma ostrych kantów jak u 77, idealne do salonu owalnego...

Tyle razy już występował sentymentalne wspomnienia, że dzisiaj tylko realia, mało jednak realistyczne - koresponduję sobie z pewną damą, która, zamiast biżuterii nosi kosę i listów stosa a w nich słowne przepychanki zaświadczone, że niemożliwe jest możliwe. Około roku już minęło jak podczas drzemki popołudniowej, w dziwnym nierealnym wnętrzu nierealny sanitariusz powiada mi, że śmierć przyszła i czeka w foyer, ja na to żeby poszedł zobaczyć czy się na tę niezwykłą okoliczność jakoś przyzwocie, a może elegancko ubrała. Jesteśmy z tą modniwą w stanie chłodnej towarzyskiej rezerwy i korespondencji somnambulicznych, oto fragment listów z połajankami.

10 lutego 23 roku, piątek... piszą tak: była Antosiu i co ty na to i nic nie mówisz i na nie nie patrzysz i nie WYGLĄDASZ JAK ZAWSZE BYŁO... I po co ci ten bilet wilczy? MİLCZY

ANIŚ TY BOSKI ANI TEŻ ONE — TWOJE ZMARTWIENIA I TROSKI
NO A JAK WYGLĄDAŁA W TYCH PANTOFELKACH?

karawan i katafalk przyniosła w wafelkach

zaś w różowych pantofelkach

rozkładała warcaby na mebelkach

jeszcze trochę jestem żywy

patrzę i uważnie i krytycznie

na te stroje śmiercionośnej mojej DIVY

JEST SZYKOWNIE DZIŚ ubrana, lecz RÓŻOWY?

Z CEKINAMI? Dziecko! Z rana...???

siada, więc na katafalkach

jak BARDOTKA, jest na HALKACH...

jeszcze widzę i co widzę

jakieś szminki, maście, kremy

nie wzywałem laborantki od egzemy

NOC COŚ DNIEJE? COŚ GDZIEŚ PIEJE

U SZEKSPIRA TO ZWYCZAJNE? Zwykłe dzieje...

RÓŻOWIUTKA! Pora brać się do roboty

piły, tarcze, kulomioty

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”

Fragment. Cały tekst, w Głosie Pruszkowa: www.gpr24.pl



foto: B. Zimowski

Ryszard Łukowski

JULO

Wspaniały aktor ze Starego Zespołu teatru.

Miał wymowę ze specyficznym naciskiem na s i c, mawiał: posłuchaj szyneczku.

A więc posłuchajcie:

Uwielbiał kobiety i kobiety uwielbiały to jak niemiłosiernie dowcipkował używając przy tym słów skojarzonych wyłącznie z seksem:

Szluchaj Ewcia – zapytał naszą koleżankę o wyjątkowej szczupłej budowie ciała – czy ty masz czyczki?

Oczywiście że mam. To czemu nie nosisz?

Papierosa koniecznie papierosa! - wpadł ktoś do bufetu, - może być nawet „Płaski”
(były takie papierosy)

Żapytaj mnie o czy mam „Płaskiego”

Masz „Płaskiego” Julo? Jak założę nogę na nogę.

Szluchaj Rikitikitawi (tak się do mnie zwracał) szpotkało mnie dzisiaj sztraszne przeżycie: obudziłem się rano i czuję że mam wźwód!

Pobiegłem do lustra żeby to szyneczku zobaczyć i wtedy mi opadł.

Aaa... widocznie nie byłem w jego typie.

W stosunku do kobiet stosował wyrafinowane stopniowanie: psioszka, psiocha, psioszydło. Byliśmy kiedyś przejazdem w Zürichu.

Chodź Rikitikitawi to ci pokażę cudowną psioszkę. W butiku z kosmetykami o kosmicznych cenach obsługiwała nierealna dziewczyna, jak wyjęta z okładki Playboya. Nieźła czo? Żapytaj ją kiedy kończy pracę

W stosunku do realizatorów w teatrze był bardzo wymagający i krytyczny.

Po nieudanej premierze zwrócił się do reżysera

- to jeszt osztatnie miaszto z tramwajami w którym pan reżyserował.

Ale także miewał niespodziewane pragnienia. W Buenos Aires jest imponujący cmentarz Recoleta, położony w centrum miasta. Zaprowadźcie mnie szyneczkowie na Recoleta, ale tylko w jedną stronę, bo mnie już nie oplaca się wracać. Cmentarz jest rozległy, grobowce to niemal mauzolea. Na jednym z nich widniało nazwisko Jose de Żelazko. Tak, tak szyneczku dawniej to nawet żelazka miały duszę.



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

PRZYPOMINAMY! WIADOMOŚCI ZAWARTE
W UCHU SĄ WIADOMOŚCIAMI, KTÓRE NALEŻY
TRAKTOWAĆ Z PRZYMURZENIEM OKA.

W dniu spotkania wielkanocnego - („Jajeczka „) – stan prawdziwych „zwisowców” wyniósł 33 osoby. Największa ilość bywalców podczas codziennych spotkań wyniosła 10 osób, najniższa, osób 1 (7.05. godz.12.00).

Po wielu zawirowaniach „dzicy bywalcy” udostępnił wreszcie Pomnik Piotra turystom.

Nadredaktor zaprzecza jakoby był winien zmianom nastrojów bywalców i miał jakikolwiek wpływ na pogodę i otaczającą nas rzeczywistość. Na wszelki wypadek „Nadred” odbył pieszą „pokutę” przez Bieszczady podczas V Samotnego Rajdu Zwisowców w Bieszczadach. Podczas odbywania „pokuty” nie biczował się ale parę odcinków zaliczył „na kolanach”.

Redakcja „Vis á Vis” poleca do przeczytania ciekawe artykuły w zaprzyjaźnionej gazecie „Głos Pruszkowa”. Adres: www.gpr24.pl

Już niedługo do Krakowa ma zawitać znany globtroter i autor „Opowieści skalnego Podhala”. Jest nadzieja, że odwiedzi naszą kawiarenkę.

Zbyszku wróć! Do Zwisu masz lepszy dojazd.

Fundusz gazetkowy: Stan po wydaniu kwietniowym: 525
Fundusz zasilili: Piotr M. - 100, Jerzy F. - 50, Nocna Zmiana – 100(?),
Jacek M. - 100, Jolanta i Artek S., Wojciech W. z Przasnysza-znaczką,
Janeczka - 50
Wydatki: znaczką (28) – 78, druk gazetki majowej – 523,49 = 601,49~ 601
Stan: 925- 601 = 324 + „VaV”- 270 = 594. Mamy na druk gazetki VI.

Wszystkim dzieciom małym, większym, dużym, tym gniewającym się na wszystko i tym radosnym, beksom i urwisom, Redakcja składa z okazji Dnia Dziecka, najlepsze życzenia. BK



foto: autora

Paweł Kozłowski Prawa Psa i Mieszkańca

41. Pies ma prawo do prawdy. Prawdą jest to, co sprawia psu przyjemność.
42. Pies ma prawo do przygód i życiowych niespodzianek. Przygody muszą się dobrze kończyć, niespodzianki także.
43. Pies ma prawo do szczęścia. Pies zapewnia szczęście personelowi opiekuńczemu swoją obecnością i wielkoduszością.
44. Pies ma prawo do nierywalizowania z innymi. Wartość psa jest absolutna, a nie relatywna.
45. Pies ma prawo do słuchania współmieszkańców, jeśli oni robią to, co zdaniem psa, powinni robić.
46. Pies ma prawo do porządku, czystości, bezpieczeństwa fizycznego i socjalnego oraz dobrej atmosfery.
47. Pies ma prawo do dobrego klimatu. Personel ma utrzymywać odpowiednią wilgotność i temperaturę: nie za wysoką i nie za niską.
48. Pies ma prawo oczekiwać, że personel opiekuńczy nie będzie wydawał pieniędzy na to, co psu nie jest potrzebne.
49. Pies ma prawo nie słuchać narzekań.
50. Pies ma prawo lizać oraz machać ogonem. Pies ma prawo do wyboru formy wyrażania uczuć.
51. Pies ma prawo wymagać, by współmieszkańcy czytali o nim książki naukowe oraz powieści. Pies czytać nie musi, bo wie.
52. Pies ma prawo nie wozic na sobie: pcheł, kleszczy, przyklepanych owoców, oraz swojego personelu opiekuńczego.
53. Pies ma prawo sprawdzać, co jest za oknem, za drzwiami i w sąsiednim pokoju. Domownicy powinni być skupieni razem i na widoku.
54. Pies ma prawo wiedzieć, że jest zoon politikon. I wyciągnąć z tego wszystkie wnioski.
55. Pies ma prawo do ogólnego zniechęcenia. Personel nie może mu w tym przeszkadzać i musi stworzyć najlepsze warunki do nic nie robienia.
56. Pies ma prawo wolności. Współmieszkańcy kwatery psa mają prawo do wolności także. Najwyższym wyrazem prawa do wolności współmieszkańców jest zrozumienie i akceptacja przez nich konieczności. Treść konieczności ustala pies w sposób dyskrecyjny lub jawny.
57. Do psów, w rozumieniu tej karty praw, nie zalicza się ratlerków, gołębi oraz policjantów umundurowanych i tajnych.



fot. B. Zimowski

Roman Wysogład

Krupnicza 22 (fragment wywiadu)

Przemyślenia, które natchną mnie dzisiaj, kiedy słyszę słowo „Krupnicza 22” można podzielić na cztery części:

- a. *Koło Młodych przy ZLP. Lata 1968-1971.*
- b. *Moje „związki” z Krupniczą 22.*
- c. *„Zameldowany przy Krupniczej 22 1986?-1998?”.*
- d. *Przyjaciele, żony i wdowy po pisarzach, czyli „jaka literatura, taki dom”.*

Jednym z nich był kuzyn Witkiewicza, dość roztyły, sympatyczny pan, któremu prawdopodobnie młode towarzystwo bardzo odpowiadało.

Jest rzeczą oczywistą, iż już wtedy (lata 60) istniała legenda „Krupniczej 22” ale strasznie trudno mi powiedzieć, na czym konkretnie polegała. Może na „zagęszczeniu” aż tak dużej ilości znanych ludzi na małej przestrzeni? Może na kluciu władzy w oczy „niejednomyślności” niektórych mieszkańców w czasach wszechobecnego jednego zdania na każdy temat?

A może dla „ludzi z zewnątrz” Krupnicza 22 była jakby jeszcze jednym dowodem na „uprzywilejowanie” niektórych, gdy z założenia wszyscy mieli być równi?

2. W środku cyklotonu.

W marcu 1972 odbył się mój ślub z córką Haliny i Tadeusza Kwiatkowskich, Moniką, i naturalnie jej rodzice nie wyobrażali sobie przyjęcia gdzie indziej jak w stołówce przy Krupniczej, w której nota bene sami także świętowali swój związek.

Tak więc można powiedzieć, iż do legendy Krupniczej 22 wkroczyłem najpierw przez Urząd Stanu Cywilnego.

Dużo można by opowiadać o stołówce, sławnych w niej Balach Sylwestrowych z obowiązkowym spiczem Stefana Otwinowskiego i odmierzaniem sekund pozostałych do godziny 24 specjalną pokrywką od patelni przez Kwiatkowską.

Jeden z Sylwestrów, chyba 1973/74 z taką obsadą: Pszoniak, Swinarski, Walczewski, Polony, Skarżyński.

Ale to sentymenty, nie wiem, czy Panią interesują? A każdy z nas ma do opowiedzenia setki podobnych bzdur.

3. Pełnoprawny pisarz.

Kiedy w roku 1985 po „przygodach warszawskich” wróciłem do Krakowa, byłem bez dachu nad głową, ale koledzy ze Związku postanowili pomóc przyjacielowi, i gdy tylko zwolniło się mieszkanie „przydzielono” go mnie.

Sytuacja była o tyle zabawna, gdyż z kartką ze Związku udałem się do biura meldunkowego, które na tej podstawie wystawiło mi normalny przydział „na mieszkanie” jak się pięknie mówi po polsku.

Dopiero w jakiś czas później doszło do mnie po kim dziedziczyć lokal numer 17: Mrożek, Iredeński, Czycz, Maj.

Kilka nocy na trzeźwo nie mogłem z nerwów zasnąć.

c. d. n.

Piotr Bartula

„ Y ”

Mowa na koniec roku szkolnego

Jak każda litera jestem istotą alfabetyczną, bo taka, która z natury, a nie przez przypadek żyje poza alfabetem, jest bez prawa, bez własnego leksykalnego ogniska, niczym kamień wyłączony z gry w kości. Nie od zawsze byłem obecny w alfabecie łacińskim. Zostałem dodany w I wieku p. n.e., a to w celu dokładnego oddawania na piśmie wyrazów greckich, stąd nazwa i grek „i-grek”. Od tej pory byłem elementem świata edukacji, ale dokuczał mi brak alfabetycznego prestiżu. Jestem dopiero dwudziestą dziewiątą literą polskiego alfabetu. Już w pierwszej klasie szkoły podstawowej przeżyłem w Polsce traumatyczny szok. Nim mnie smarkacze poznali, minął cały rok. Noce i dni dręczył mnie widok samca „A” kroczącego na pierwszym miejscu, po czerwonym dywanie. Pomimo greckiego pochodzenia znałem w elementarzu mniej niż murzynek Bambo. Powołując się na Biblię gdańską z roku 1632 Pan Leleweł w „Uwagach o Mateuszu herbu Cholewa” poniżył mnie wprowadzając „jota ogoniaste”, popularyzował stosowanie litery „j” zamiast „ypsylon”. Robiąc sobie z gęby cholewę wymyślił słowo „krajobraz”. Dzisiaj domagam się rekompensat i reparacji. Tym bardziej, że ani państwo ani Kościół nie miało odwagi nadać polskiemu chłopcu, dziewczynce lub gejowi imienia Y grek. Kiedy pierwszy raz usłyszałem, że Ala ma Kota, marzyłem, żeby mieć Alę. Ale dostał ją ten pedofil „A”. Od tego czasu zacząłem się zacinać. Jako bezimienna litera alfabetu nie miałem żadnych szans na sukces. Nie to co we Francji, bo na Yve’a każda Ala polecie. Całe życie, tak w PRL, jak i później pędziłem nędzny żywot onomatopei w obrzydliwych toaletach, podczas czynności, które nie dają zbawienia i ruchach niegodnych filozofa. Stałem się ohydłą monosylabą w ustach radiowo-telewizyjnych speakerów, zająknięciach uczniów, oratorów i odgłosach samotnych młodzieńców. Z powodu słabej pozycji w wyrazowej hierarchii jestem oburzony. W imię alfabetycznej sprawiedliwości pozostała mi zemsta! Postąpię zgodnie z zasadą, że ostatni będą pierwszymi. Docisnę do ściany B, skopię D, wyrwę kartki z C, wyśmieję F, G, H, rozczłonkuję K, wyprostuję L. Ytd. Ytp. Poprzysięgłem sobie, że któregoś dnia powrócę do szkoły i wejdę do lśniącego wnętrza Ali, z którą w pierwszej klasie tańczył „A”. Nigdy nie spoczne w spokoju i w przyszłym roku będę grzmieć bez ustanku: wczoraj „A”- dzisiaj „Y”!.



fot. B. Zimowski

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.

Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów

	Andrzej Dyga	Kontakt: Pólczecka Vis a Vis, www.zvis.pl
	materiały: Bogusław Kucharek, skład i współpraca: Bogdan Zimowski	zvisrynek@gmail.com
	korekta: Zbigniew Bajka sekretarz redakcji: Magda Konopska	visaviskrakow